

Nr. 21. Poznań, dnia 24 Maja 1879. Rok II.

Słów Kilka
w Sprawie Słowiańskiéj,
a mianowicie
o połączeniu Polaków, Czechów i Rusinów,
tudzież o potrzebie zwołania wieca słowiańskiego.

Spólna moc tylko zdoła nas ocalić.
A. Mickiewicz.

Wstęp.

Za naszéj pamięci zabłysła kilku narodom w Europie szczęśliwsza dola. Węgrzy, a raczéj Madziary uzyskali znakomite swobody, choć prawda z pokrzywdzeniem innych plemion, a szczególnie słowiańskich. I stało się, że ów cesarz, który za pomocą rosyjskich bagnetów w krwi potokach przytłumił powstanie węgierskie 1848 i 49 r., ten cesarz mówię, w kilkanaście lat późniéj ozdobił swe czoło starożytną koroną ś. Stefana, a podczas uczty koronacyjnéj wniósł zdrowie; „*Eljen e haza*“ tj. Niech żyje ojczyzna, oczywiście węgierska. Dziś Węgrzy osiągnęli samodzielność i swobody, o jakich bodaj dawniéj marzyli.

Nie dawne to czasy, kiedy narody włoski i niemiecki doszły do pożądanéj jedności i połączenia pod jednym rządem, a Francuzi zaprowadzili u siebie rzeczpospolitą, która bądź co bądź jest najlepszą formą rządów, jeżeli tylko ludy posiadają odpowiednie wykształcenie polityczne, aby umieć ze swobód republikanckich korzystać.

Serbowie i Rumuni osiągnęli dopiero przed rokiem samodzielność polityczną, a Bułgarowie i Bośniacy po wiekach tureckiéj niewoli zaczynają swobodniéj oddychać.

Uśmiecha się tedy szczęście różnym narodom, tylko nie nam Polakom, bo nam wciąż smutno i gorzko. Nasze niebo wciąż pokryte ciemnemi chmurami, a choć czasem zabłyśnie na naszym politycznym widnokręgu światełko, to takie nikłe, blade i niepewne, że trudno osądzić: czy to nadziei gwiazdka szczerozłota, zwiastująca lepszą dolę — czy ognik błędny, który na to tylko błyska, aby nas zaprowadzić na bagna, lub w większéj, niż dotąd, po zagaśnięciu pogrążyć ciemności. Zapewne nie potrzeba się szeroko rozwodzić, że obecne położenie nas Polaków jest straszne i groźne. Cóż pisać o ucisku naszych braci w zaborze rosyjskim? Pióro za słabe, aby opisać całą grozę okropnego prześladowania narodowości polskiéj pod rządem rosyjskim, tu chyba pędzel Matejki, Siemiradzkiego lub Eljasza może godnie opowiedzieć męczeńskie dzieje i zapasy naszéj Ojczyzny.

A u nas w Wielkopolsce, w Prusach Zachodnich, Wschodnich i w Ślązku cóż się dzieje? Straszne „*vae victis*“ (biada zwyciężonym), dopełnia się u nas w całéj grozie. Ponosi ciężkie ciosy kościół katolicki, daleko dotkliwsze biją na język polski, to palladium naszéj narodowości, a co najsmutniejsza — ziemia, ta materyalna podstawa naszego istnienia, z pod nóg nam się usuwa. Ród obcy powoli wypiera dziedziców Lechowego gniazda. Jeżeli wywłaszczenie Polaków równie szybkim, jak w ostatnich latach, postępować będzie krokiem, to chyba trzeba będzie powtórzyć smętne treny Jeremiasza nad zburzoną Jerozolimą.

Pozostaje Galicya, gdzie narodowość polska uzyskała znaczne swobody i potężną opiekę dostojnego cesarza Austryi, ale i tam wiele jest spraw bolących, które smutkiem napełniają serce prawego Polaka. Lud wiejski ciemny, niepatryotyczny, gnębiony srodze przez Żydów; sprawa ruska niezałatwiona, niezgoda i gorszące zajścia w delegacyi, wzajemne lekceważenie i odsądzanie się od czci i wiary stronnictw politycznych — oto rak społeczny, toczący żywioł polski w Galicyi.

Na dobitkę złego my sami jesteśmy, jakoby w uśpieniu, nie przeczuwając w całéj pełni grożącego nam niebezpieczeństwa. Gdy nasi przeciwnicy wszystkie siły wytężają, aby nas pognębić i gdy zwartym szeregiem w nas uderzają, to my nie wszyscy stajemy w jednym hufcu, aby odpierać walące się na nas ciosy. Jakieś zwątpienie, jakaś niemoc, brak zaufania w własne siły ogarnęły nawet potężne umysły, a cóż mówić o mniéj wykształconych rodakach?

Lecz dosyć tego — nie jest bynajmniéj moim zamiarem przyczyniać się do pomnażania skarg i biadań, którę się zaczynają stawać już naszym chlebem powszednim. „*Nie ze smutnego oka, ale z dzielnéj dłoni wykwita nadzieja,*“ śpiewa czeski piewca Kollar, a nasz wielki Krasiński tak do nas przemawia:

„Dość już długo — dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal!
Czas uderzyć w strunę drugą,
W czynów stal!“

Biadamy już podobno zawiele nad arcysmutném położeniem naszém, płaczemy bezsilni nad krzywdami, jakie ponosimy od wrogów, zwątpienie zbyt wielkie uczyniło w naszych umysłach spustoszenia — czas największy obudzić się ze snu, w który nas jakiś fatalizm pogrążył.

Zaiste nadszedł czas, aby sobie powiedzieć, że ***jeszcze nie wszystko stracone,*** że będzie lepiéj, jeżeli tylko chęć dobra nas ożywi i jeżeli dołożymy czynnéj ręki we wszystkich kierunkach pracy narodowéj, aby wrócić zdrowie kochanéj naszéj Ojczyznie, złożonéj przeszło już sto lat na łożu niemocy.

„Szukajcie a znajdziecie,“ mówi Pismo Ś. — szukajmy tedy, a z pewnością odszukamy sposoby i środki, za pomocą których nietylko dźwigniemy z łoża boleści cierpiącą naszą Ojczyznę, ale owszem dodamy jéj blasku, jakim się nawet dawniéj nie szczyciła.

Każda praca dla dobra Polski jest pożyteczną — nie każda jednak ją zbawi. Mają słuszność ci, którzy powiadają, że kto chce się Ojczyznie przysłużyć, powinien wypełniać gorliwie obowiązki domowe, rodzinne, a zatem szewc niech pilnuje przedewszystkiem warsztatu, kupiec handlu, ziemianin roli. Zapewne że to wszystko potrzebne, ale to wyłącznie zasklepianie się w codziennych zajęciach Polski nie odbuduje. Mówią nam inni, że trzeba się mianowicie starać o dobro materyalne, o wzrost rólnictwa, handlu i przemysłu i o cnotę oszczędności, któréj szczególnie nam nie dostaje. A i ci wielką mają słuszność, którzy wzywają do gorliwych usiłowań o wzrost oświaty między młodem pokoleniem i ludem. Któż zaprzeczy, że wierne trzymanie się wiary ojców jest koniecznem, aby pozyskać szczęśliwszą przyszłość?

Wszystko to jest dobre, pożyteczne, nawet konieczne, ale to samo jeszcze nam Polski nie odbuduje.

Jednym z naczelnych a dotąd zaniedbanych środków, który nietylko może przynieść Polsce szczęście, ale rzeczywiście przyniesie, jest myśl pobratania się nas Polaków z Słowianami, jest idea wzajemności słowiańskiéj. Może się mylę, ale wypowiadam tu moje przekonanie, płynące z głębi duszy i serca, że bez połączenia się z Bracią Słowiańską nie dźwignie się z niedoli Polska nasza: jedno z dwojga albo wypada nam ścisłe z Słowianami zawrzeć braterstwo, aby połączonemi siłami dobijać się szczęśliwszéj przyszłości albo też wiecznie cisnąć nas będzie ciężkie jarzmo niewoli.

Zaiste! załamać trzeba ręce nad naszą obojętnością dla sprawy słowiańskiéj. Jestem przekonany, że za sto lat, gdy już zjednoczeni Słowianie kosztować będą słodkich owoców jedności, dziwić się będą badacze: czem się to działo, że Polacy tak sobie lekceważyli piśmiennictwo, język i dzieje pobratymczych narodów słowiańskich? My po większéj części z pogardą spoglądamy na Słowian, a jeżeli zajmujemy się ich losem, to doprawdy nie więcéj jak innych, obcych narodów. My nie zdajemy sobie żadnéj sprawy, nie czujemy nawet tego, że wielką krzywdę wyrządzamy nie tak Słowianom, jak raczéj sobie samym, iż tak jesteśmy obojętni dla Braci Słowian. Czasem raczymy się prawda zbliżać do nich — oto wtedy, jeżeli mowa o przewodnictwie w Słowiańszczyznie, gdyż oczywiście zdaniem naszém tylko Polacy przodować mogą Słowianom i na to wszyscy Polacy się zgadzają. Niechby i tak było, aleć w takim razie nie my sami, ale Słowianie pierwszeństwo przyznać nam powinni, a jakżeż je nam przyznają, gdy nic o nich nie dbamy.

O karygodna obojętności dla spraw słowiańskich i kiedyż ustąpisz z serc naszych? Któż cię wykorzeni, kto natchnie piersi nasze czystą miłością dla drogich Braci Słowian? Kto tego dokona, ten więcéj się przysłuży dla dobra naszéj sprawy, aniżeli bohater, który w licznych bitwach pobił naszych wrogów, a potem cofnął się za granicę.

Gdy nikt z naszych koryfeuszów nie zabiera głosu w téj nader ważnéj sprawie, wtedy ja, choć maluczki, bez wpływu i znaczenia, niewiele znany, z małym zasobem wiedzy, bez zasług nawet dla sprawy ojczystéj, tylko miłością Polski i Słowiańszczyzny zagrzany, ośmielam się, jak ów litewski wajdelota, podnieść głos w téj brzemiennéj skutkami myśli słowiańskiéj, aby choć szczupłéj garstce rodaków zwrócić uwagę na wielkie znaczenie téj sprawy, któréj szczęśliwe załatwienie prędzéj, aniżeli sądzimy, przyniesie nam upragnione szczęście.

Otóż zamierzam ogłosić tymczasem w „Lechu“ szereg artykułów o idei słowiańskiéj, które do tego choć w części przyczynić się mają, aby tę myśl słowiańską dotąd nieokreśloną i unoszącą się w górnéj krainie ideałów, sprowadzić na ziemię i zebrać materyał do wytworzenia programu wszechsłowiańskiego, wręcz przeciwnego kierunkowi panslawistycznemu. W napisie wyrażony poniekąd cel niniejszéj rozprawy: oto główne zadanie wzajemności słowiańskiéj dziś trzeba skierować na połączenie Polaków, Czechów i Rusinów, tak aby w sprawach zewnętrznych utworzyli jednolitą falangę, a w tym celu należy zwołać wiec słowiański, któryby taki program do życia powołał.

Trudne to, ciężkie i niewdzięczne zadanie, jakiego się podejmujemy. Dziennikarstwo nasze, po większéj części obojętne albo wręcz przeciwne wzajemności słowiańskiéj, niezawodnie albo z błotem zmiesza niniejsze uwagi, albo co gorsza ani słówkiem nie raczy wspomnieć, aby głos ten w zarodzie ubić milczeniem. Nie dziwić się temu, gdy nasze gazety więcéj się zajmują Ameryką lub Chinami, aniżeli Słowiańszczyzną. Krytyka, choćby najostrzejsza mogłaby oddać przysługi myśli słowiańskiéj, gdyż możnaby fałszywe twierdzenia zbijać, bronić się, odpowiadać, nie można atoli walczyć przeciw grobowemu milczeniu. Mniejsza o to — przynajmniéj dopełniamy obywatelskiego obowiązku, wypowiadając słowa prawdy, a Braciom Słowianom damy dowód, że nie wszyscy Polacy są dla nich niechętni. Kto wie zresztą, czy ta myśl „co się w czasie zrywa, waży“ nie przypadnie w szczęśliwą chwilę, co tak pięknie wyraził Garczyński:

„. . . słowo w dobréj ludziom powiedziane chwili,
Jak trąba archanioła stworzy ich czem byli.“

Oby wypowiedzenie niniejszego słowa przypadło w dobrą chwilę i przyczyniło się do zaszczepienia w nas

przekonania, że jesteśmy nietylko Polakami, ale i Słowianami, a zatem ciężą na nas obowiązki tak względem Polski, jak i względem wielkiéj Słowiańszczyzny!

WSPOMNIENIE STUDENTA.

Gawęda.

Opowiedział

TADEUSZ ZAREMBA.

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem kursa w szkołach nanowo się rozpoczęły. Chodziłem regularnie na lekcye, ale już się uczyć nie mogłem. Gdy tylko brałem książkę do ręki wnet mi przed oczami stawała postać ubóstwianej Lusi, i nawet się nie starałem od siebie ją odegnać. Podczas lekcyj wpadałem w zadumy, z których mnie czasem wyrywali profesorowie zadając mi jakie pytania, na które już tak przytomnie jak dawniej nie odpowiadałem. Wszyscy się dziwili tej nagłej odmianie, przypisywano ją z początku chorobie, a w końcu się przekonano, że byłem zdrów jak ryba, lecz tylko przestałem być pilnym. Dawniej uważałbym się za najnieszczęśliwszego z ludzi, gdybym nie miał odpowiedzieć na zadane pytanie. Teraz na mnie żadnego to nie robiło wrażenia, już mnie nic oprócz Lusi obchodzić nie mogło, kochałem ją, nie dbając o resztę.

Tak upłynęły dwa tygodnie.

Nadeszła pora egzaminów. Mieliśmy cały miesiąc przeznaczony na nie.

— Odwagi! — szeptali profesorowie, pan się trochę opuściłeś ostatniemi czasy, ale na egzaminach pan wszystkich przekonasz o tem, że to było tylko chwilowem zapomniem... Odwagi!...

Pierwszy z porządku egzamin z historyi przypadał za dni kilka, każdy najleniwszy z moich kolegów brał się żywo do książki, pożerał jej kartki, po całych dniach się uczył, aby choć w części odpłacić czas w ciągu roku stracony i przekonać profesorów, że jednak coś umie.

Ja jeden obojętnie na wyznaczony dzień oczekując nie brałem nawet książki do ręki... Zato z papierem i ołówkiem całe dnie w ogródku spędzałem starając się bądź wyrysować piękny profil Lusi, co mi się nigdy nie wiodło, bom żadnych nie miał do rysunku zdolności, bądź też w wierszach opisać moję miłość albo jej wdzięki. I wiersze mi się lepiej nie wiodły. Czasem godzinami się męczyłem nad zebraniem kilku rymów, jak je znalazłem, jak je odczytałem radość moja granic nie miała i zdawało mi się, że byłem poetą. Błogosławiłem ten nowy talent,

O ile sobie przypominam jedne wierszyki brzmiały w sposób następujący.

„Kocham cię o! Walentyno!
Jak Wezuwiusz serce pała,
Tęsknię, łzy jak rzeki płyną...
Kocham cię dziewczyno śmiała!
Walentyno!...."

„Jakby anioł tyś nadobna,
Jakby jedwab', masz ty włosy,
W koral buzia twa ozdobna,
W oczach świecą krople rosy...."
Walentyno!...

„Spojrzyj na mnie, ach! łaskawie!
Powiedz, że mam mieć nadzieję,
Bo inaczej... gdzieś na trawie
Wiatr me kości hen! rozwieje...
Walentyno!..."

„Umrę twoje szepcząc imię,
Serce będzie cię kochało,
Chociaż w duszy twojej zimie
Ciepło dla mnie nie zatlało....

Wiele razy dziś sobie te wiersze przypomnę, nie mogę się powstrzymać od serdecznego śmiechu, taka w nich dziecinna naiwność, tak pełne śmieszności niegodnych szesnastoletniego młodzieńca. Ale wtedy... Zdawało mi się, żem w nich skrystalizował całe skarby pięknych myśli... Cóż w tem dziwnego?... Kochałem, kochałem pierwszą miłością, kochałem uczuciem najczulszem od samych wierszów.

Inne znów brzmiały weselej.

„Spotkałem cię
I pokochałem...
Nie kochasz mnie —
Z bolu omdlałem."

„Pokochaj mnie,
O, Walentyno!
Pobierzem się —
Dnie miodem spłyną."

Miałem kilka wymęczonych utworów tej samej wartości i ten sam dobry smak zdradzających. Cieszyłem się nimi, obiecując sobie, że je wszystkie sumiennie kiedyś mojej Lusi przeczytam.

* * *

Pewnego dnia, długą godzinę przed lustrem spędziwszy na poprawianiu włosów i krawaty, wyszedłem na miasto z gwałtownie bijącem sercem, bom się był zdecydował na ważny krok. Szedłem do Lusi, aby jej moją miłość wyjawić, aby mój wyrok wyrzekła.

Jak mnie przyjmie?... Czy mi zrobi jakąkolwiek nadzieję?... Te dwa pytania sobie nieustannie stawiałem żadnej na nie odpowiedzi znaleść nie mogąc.

Po długim marszu stanąłem przed zieloną furtką do jej mieszkania wiodącą i, po chwili wahania, zadzwoniłem nieśmiało.

Na moje spotkanie wybiegła brudna, rozczochrana służąca. Ciekawie mnie oczyma zmierzywszy, zapytała, czego sobie życzyłem.

— Czy panie w domu? — rzekłem słabym głosem.

— W domu.

— Chcę widzieć się z panną Walentyną — dodałem.

— Proszę pana.

To mówiąc, służąca przeprowadziła mnie przez dość niedbale utrzymywany ogródek. Pomiędzy akacyami widać było gdzieniegdzie nędzne krzaki bzu i bardzo dużo wybujałych chwastów. Niewielki, jednopiętrowy domek znajdujący się na końcu ogródka bardzo ubogo wyglądał. Tynk dawno z niego pooblatywał i wyglądał jak nędzarz w po-

dartych łachmanach. Kilka krzaków Ledery pnąc się po jego ścianach starały się jego smutną nagość osłonić.

— Ona tu, w tej okropnej chacie mieszka, — myślałem z boleścią, oglądając się w koło.

Tymczasem brudna służąca przyprowadziła mnie do drzwi domku i otworzyłem je i wszedłem do ciemnej i wązkiej sieni.

— Proszę tędy, — rzekła uchylając drzwi w głąb' domu wiodące.

Stałem w progu dość dużej izby. W niej przy oknie obie damy siedziały. Nie daleko od nich, na kulawym fotelu rozpierał się jakiś nieznany mi mężczyzna.

O ile zewnątrz wszystko zdawało się smutnem i zaniedbanem, o tyle w domu wzorowa panowała czystość. Widocznie Lusia tu na wszystko troskliwem patrzała okiem.

— A! pan Józef!... — poufale zawołała stara ciotka żywo z krzesła powstając. — Co za miła niespodzianka! — I podeszła wyciągając domnie wielką pulchną rękę. — Witam! witam!

Na tak serdeczne powitanie nie mogłem niczem innem odpowiedzieć, jak tylko złożeniem gorącego pocałunku na jej ręku, poczem zbliżyłem się do Walentyny. Mogłem dostrzedz bez trudu pewien wyraz nieukontentowania w jej oczach. Zdawała się pytać co w jej domu robiłem.

— Przyszedłem dowiedzieć się o pani zdrowiu, — wymówiłem jąkając się. — Nie mogłem o tem zapomnieć, żeś pani chorowała niedawno i pragnąłem zaspokoić się w tej mierze.

Badawczo mi w oczy spojrzała.

— Widzieliśmy się przecie od tej pory, — rzekła.

— Tak... Ale... byłem jednak niespokojny... — odparłem mieszając się. — Są choroby, które czasem wracają... tak — wracają... jednak...

— Panie Józefie! — zawołała ciotka. — Siadaj pan!... proszę pana... A! dodała zwracając się do siedzącego na fotelu mężczyzny. — Zapomniałam o tem, że się panowie nie znacie... — i przedstawiła mnie nieznanego jegomości, który jak się z tego wykazało, był owym szczerze przezemnie znienawidzonym nauczycielem muzyki, był tym, który swojemi propozycyami ważył się mojej biednej Lusi dokuczać. Spojrzałem na niego w sposób wyzywający, wyprostowałem się najśmieszniej i lekkiem tylko głowy skinieniem odparłem na jego głęboki, uniżony ukłon. Chciałem go od razu przekonać o mojej głębokiej do niego antypatyi.

Rozmowa była urywana, męcząca i nieprzyjemna dla każdego z nas.

Po upływie pewnego czasu muzyk spojrzał na zegarek i zawoławszy ze zdziwieniem:

— Już piąta! czas prędko w miłem towarzystwie upłynął, — począł się zabierać do odejścia.

— Co? Pan nas już chcesz opuszczać? — pytała ciotka z udanym żalem.

— Muszę... muszę... mam w mieście lekcyę... — tłumaczył się muzyk i począł się kłaniać, wyraziste ku Walentynie rzucając spojrzenia. Ale ona zdawała się ich nawet nie widzieć i bardzo zimno go pożegnała. Westchnąwszy parę razy i zwróciwszy oczami muzyk wyszedł z pokoju.

Skoro się tylko drzwi za nim zamknęły, ciotka głośno się roześmiała.

— Nieprawda! — rzekła, — żadnej nie ma lekcyi. Wyniósł się, bo go wizyta pana Józefa dziwnie zbiła z tonu. Byłby siedział do późnej nocy. Trzeba panu wiedzieć, — poczęła mówić szybkim głosem, do mnie się zwróciwszy, — że to spolszczały Czech nizkiej kondycyi. Nie pamiętam już gdzieśmy go poznały. Wbił sobie w głowę, że rękę Lusi otrzyma i nie przestaje nas zamęczać swojemi wizytami.

Z wielkiem zdziwieniem tych słów słuchałem. Widocznie ciotka nie domyślała się że całą jéj rozmowę z Lusią na bulwarze mogłem prawie dosłownie powtórzyć. Spojrzałem na Walentynę. Zarumieniona, siedziała jak na torturach, wstydząc się za ciotkę, która dalej prędko mówiła:

— Nie myślałam, aby kto mógł być równie natrętnym. Pan Wenzel nie chce zrozumieć, że Lusia nigdy jego żoną nie będzie, że on nie jest stósowną partyą dla mojej siostrzenicy. Wytrwale wzdycha i prawie ztąd nie wychodzi. Gdyby sobie przynajmniej wzdychał za drzwiami... Już mówiłam Nadi, (służącej) aby go nie wpuszczała. Ale gdzie tam!... — Tu staruszka wymownie ręką kiwnęła.

Żal mi było biednej Lusi, która oczywiście cierpiała męczarnie. Postarałem się zwrócić rozmowę na inny przedmiot i skorzystawszy z chwilowej pauzy w opowiadaniu ciotki, rzekłem wzkazując na okno:

— Jakiż śliczny widok na morze!... Możnaby przez to okno godzinami patrzeć bez znużenia.

— Prawda? — zawołała staruszka. — Ja zawsze utrzymuję to samo,.. To mnie nawet przypomina, — dodała powstając, — żem jeszcze nie odbyła mojej codziennej przechadzki nad brzegiem morza. Doktor mi to bardzo zaleca... Do zobaczenia, panie Józefie. Pan u nas na herbacie zostaniesz... prawda?... Lusia! będę się gniewała na ciebie, jeśli pana Józefa nie potrafisz zatrzymać. — To mówiąc, uprzejmie się skłoniwszy wysunęła się z pokoju.

O, dobra, kochana ciotka! Jakże jej byłem za to wdzięczny!... widocznie moje najskrytsze myśli odgadła i z umysłu samego pozostawiła w towarzystwie siostrzenicy. Postanowiłem z tej sposobności skorzystać.

— Pani, — rzekłem drżącym głosem — pani zapewne odgadłaś cel, który mnie tutaj sprowadza...

— Nie panie — szepnęła Lusia.

— Czyś pani dotąd nie zauważyła, że panię kocham?... Czy na to słów trzeba? Czyż tego nie widać?... Wszyscy mnie dokuczają w domu, dowodząc, że się w pani kocham... Nie śmiem się tego uczucia zapierać, bo bym skłamał. Pani jedna tego dotąd nie zauważałaś, lub zauważyć nie chciałaś, — dalej ciągnąłem ze spuszczonemi oczami.

— Więc to było na prawdę..? — zapytała.

— Co?... pani dostrzegłaś moje — moje męczarnie i jeszcze wątpiłaś o prawdziwości mych uczuć?

To mówiąc pozwoliłem sobie schwycić jéj białą rączkę, której biedne paluszki dziwną we mnie litość budziły, tak gęsto, tak niemiłosiernie były igłą pokłóte. Po chwili wahania z rozrzewnieniem pocałowałem te biedne paluszki.

— Panie! — żywo zawołała Lusia! wyrywając rękę — kto panu pozwolił!...

O! wybacz pani... Nie chciałem ciebie, uczuć twoich obrażać... Wiesz, że cię kocham, wiesz, jak cię kocham... Czyż miłość taka może obrazić najświętsze nawet uczucia?...

Lusia milczała. Na jéj twarzy malował się pewien wyraz smutku.

— Nie sądź pani, żem tyle zarozumiały, bym śmiał spodziewać się od ciebie równie gorącego wyznania. Ciebie



Pożegnanie wioski rodzinnéj.

od razu każdy kochać musi, kto tylko ma serce chociażby najsłabiej bijące. Ze mną jest zupełnie inaczej. Między nami zachodzi ogromna różnica. — Wiem, że mnie teraz nie kochasz, ale pozwól mi łudzić się nadzieją, że kiedyś może, w przyszłości zmienią się twoje dla mnie uczucia że mnie pokochasz patrząc na tysiączne dowody tej prawdziwej i czystej miłości, którą pałam od chwili, w której cię po raz pierwszy na spacerze spotkałem. Przybywam tutaj dla uzyskania zachęty od ciebie, dla pozwolenia nato, bym bywał w twym domu, bym mógł patrzeć na ciebie i pracować nad zdobyciem twego serca!...

Walentyna głową ruszyła.

— Na to nigdy nie pozwolę, — rzekła.

— O! nie mów tego! — zawołałem, — nie bądź moim katem. — I znów ją za rękę schwyciwszy ukląkłem przy jej krześle.

Spojrzała na mnie z łagodnym uśmiechem.

— Dziecko! — rzekła po chwili. — Biedne dziecko!... Nie łudź się żadną nadzieją... Rozważ dobrze co czynisz... Wszak jestem dobrze starszą od ciebie... Wstań, panie Józefie!.. Bądźmy przyjaciołmi, jeśli tego pragniesz, ale o twojej miłości nie mówmy.

Łzy mi się w oczach zakręciły. Spostrzegłszy je zawołała żartobliwym tonem:

— Jakie ma argumenta na zawołanie!... Trochę energii, panie Józefie!... O miłości mówisz jakby dorosły młodzieniec, a płaczesz jak dziecko.

Nie mogłem dłużej nad mojem wzruszeniem panować i rozbeczałem się na dobre tuląc głowę do jej ramienia, jak małe dziecko się tuli do ramienia matki.

— No... no... cicho... — uspokajała mnie Lusia i, dobywszy chustki z kieszeni, poczęła mi oczy ocierać. Przez chwilę trwało milczenię. Naraz zawołała z przestrachem:

— Wstań pan!... wstań pan!...

— Co się stało!... — zawołałem zrywając się na równe nogi.

— Ciocia..... za oknem... już odeszła....

— Co to szkodzi, — odparłem z goryczą. — Niech będzie świadkiem moich męczarń... Zlituje się nademną. w niej znajdę adwokata.

— Panie Józefie... Wszak tu o pańskich uczuciach mówić nie wolno... mówmy o czem innem.

— Nie pani... mówmy o tem, że ciebie kocham. Dla czego mam być traktowany inaczej jak pan Wenzel? Dla czego on bywa u ciebie w roli konkurenta, a ja nie mam do tego prawa? Zdaje mi się, że w niczem mu nie ustępuję, zdaje mi się, że lada jaki czeski linoskok....

— Dosyć! dosyć! — przerwała Lusia śmiejąc się z zapału z jakim mówiłem. — Pan Wenzel nigdy słowa zachęty z ust moich nie słyszał, a zresztą pan jesteś na zupełnie innych prawach. Pana... kocham jak brata, gdy on zupełnie mi jest obojętny. Dla tego właśnie, że pana kocham, nigdy nie zezwolę na pańską prośbę.

— Dla czego?

Lusia westchnęła. Wahała się przez chwilę i w końcu cichym głosem wyrzekła:

— Nie pytaj mnie... Znaglona, powiedziałabym więcej niż mam do tego prawo. Nie pytaj mnie, bo bym była zmuszoną opowiedzieć ci moję historyę, a z nią także połączone dzieje innych osób... nie pytaj mnie, panie Józefie, bo budzisz we mnie różne bolesne wspomnienia... — Zamilkła.

— Więc mi każesz odejść?... Więc mnie od siebie wypędzasz?...

— Panie Józefie, nie męcz mnie... Zastanów się tylko nad tem jak niestósowne twoje wymagania. Jesteś synem bogatych rodziców, masz piękne nazwisko, stosunki, a ja jestem ubogą szwaczką. Nierówna by z nas była para.

— Ale jesteś szlachcianką, nazwisko twoje nie ustępuje mojemu, a wychowanie odebrałaś bardzo staranne. Szyjesz, boś biedna i masz w tem zasługę... praca nie poniża, ale podnosi... — wołałem gwałtownie. — Jeżeli jest pomiędzy nami różnica, to chyba dla tego, żeś wyższa odemnie, boś piękna i dobra, bo cierpisz, bo umiesz wesoło zastósować się do smutnego przeznaczenia i woli Bożej.

— Biedny panie Józefie! — rzekła Walentyna z westchnieniem. — Czy wiesz tylko kto ja jestem?... Czy znasz moję przeszłość?...

— Nic nie chcę wiedzieć!

— Ja ciebie godną nie jestem.

Spojrzałem na nią z wyrzutem. Długo w jej piękne, jasne oczy patrzałem... O! te oczy kłamać nie mogły, a przez nie wyglądała dusza anioła.

— Na co te żarty? — zapytałem.

Ale ona głowę spuściła:

— Raz jeszcze proszę cię, panie Józefie, odejdź stąd... Zaklinam cię, zrób to dla mnie...

— Zostanę... Daruj mi pani, że twym rozkazom staję się nieposłusznym, ale inaczej uczynić nie mogę. Ja ciebie teraz rozumiem. Twoję szlachetną duszę dręczą jakieś wahania, jakieś marne światowe skrupuły... Czyż moja miłość nie jest wyższą nad to wszystko?... Zostanę, pani, nie odstąpię póki ciebie nie przekonam... póki ztąd nie wyniosę promyka nadziei...

— Masz rodziców, krewnych... Coby oni powiedzieli...

— Ja ich przebłagam bez trudu. Kochają mnie i nie zechcą zagrodzić mi drogi do szczęścia.

— Ha! Sam tego chciałeś! — wyrzekła Walentyna ze śmiechem. — Twoją będzie winą jeżeli na moje czoło wystąpi rumieniec wstydu... Słuchaj mojej historyi...

— Nie chcę jej słyszeć. Wolę patrzeć w twe oczy, które opowiadają mi ciekawsze rzeczy o twej pięknej duszy. Na co mi twoja historya?... Za ciebie życiem mogę zaręczyć.

— Waham się, — rzekła Lusia, — a jednak muszę tobie opowiedzieć moję przeszłość... Może mi to nawet ulgę przyniesie, od dawna potrzebuję wyspowiadać się przed przyjacielem... Ty będziesz mi bratem?.. Prawda?... Tobie można wszystko powierzyć?.. — to mówiąc silnie mnie za rękę schwyciła — słuchaj... — dodała.

(Dokończenie nastąpi.)

Rady dla Dziewic.

Aniołem na téj ziemi staje się niewiasta,
Jeśli w cnoty płci swojéj zdobi się i wzrasta,
Jeźli pomna na swoje wielkie przeznaczenie
Spełnia w życiu myśl Nieba, w czyn zmienia natchnienie.

Belkę sobie wyjm z oka, potem ździbło z ócz brata,
Tak nas naucza Chrystus, ten Boski Mistrz świata,

A gdy cię język złośliwy do obmowy nęci,
Miej tę Boską naukę zawsze na pamięci.

Czas oszczędzaj jak złoto i nie trwoń go marnie,
Bo ci to w dalszem życiu nie ujdzie bezkarnie;
Twe wrodzone zdolności niech rozwija praca,
Ta człowieka uzacnia, oświeca, zbogaca.

Dobroć, tkliwość, łagodność, są to dary Nieba,
O te skarby najbardziéj Boga prosić trzeba.
Niemi wszystkich zniewolisz i osłodzisz życie,
One najpożądańsze są w każdéj kobiécie.

Elegancya twa cała niech zależy na tem,
By czystość była w domu a dom był ci światem
Czysta pościel, bielizna i czyste odzienie
Czyste serce — myśl czysta i czyste sumienie.

Fanatyk jest szaleńcem, bigot syn nałogu,
Nie mówieniem pacierzy spodobasz się Bogu —
Lecz Go kochaj nad wszystko — bliźniego jak siebie,
Znoś w pokorze czas próby, Bóg pocieszy ciebie,

Gospodyni zadaniem najważniejszém będzie
Baczne oko na wszystko mieć zawsze i wszędzie,
Na wszystkiem bez wyjątku znać się i rozumieć,
Aby drugich nauczyć, najpierw saméj umieć.

Hałas, wrzawa z sługami nie działa skutecznie
Trzeba czasem połajać, lecz nie zrzędzić wiecznie,
Bo gdy zbytnia powolność, czasem ludzi psuje
To i zbytnie zrzędzenie, toż samo skutkuje.

Igiełka, gdy się miga w płci nadobnéj ręku,
Dodaje jéj szacunku, powabu i wdzięku;
Bo muzyka, śpiewanie, wszystko to chwalebne,
Lecz pamiętaj — koszulki są także potrzebne.

Kuchnia, pralnia, śpiżarnia to nie bagatele
Do tego trzeba wprawy, doświadczenia wiele,
By wszystko szło jak z płatka wszystko w swoim czasie
I będzie tak, gdy na tem pani domu zna się.

Lekkomyślność, trzpiotostwo, te szkodzą niewieście,
Czy ona mieszka na wsi, czy w stołecznem mieście
Wszędzie takt przyzwoity zachować należy,
By tem nie rozzuchwalać zbyt śmiałéj młodzieży.

Łatwowierność jest wadą młodzieńczego wieku,
Wprzód się dobrze przekonaj, nim zaufasz, — w człeku
Poznać, zbadać człowieka, to także nauka:
Kto dowierza zbyt wcześnie, łatwo się oszuka.

Majątek jest rzecz niezła, kto go umie użyć
Nim się można ojczyznie i biednym przysłużyć,
Im więcéj będziesz miała dostatków, pieniędzy,
Tym więcéj dłużną będziesz krajowi i nędzy.

Nauka dziś się ludziom stała koniecznością,
Oddawaj się nauce i kształć ze ścisłością,
Bo nikt się jeszcze nigdy w świecie nie przeuczył,
A głupi często drugim i sobie dokuczył.

Oszczędność, jeźli tylko w skępstwo nie przechodzi,
Jest jak rola uprawna co dostatek rodzi
Ochydne skępstwo zwykle stratą się opłaci,
Nie bądź skąpą, bo skąpy zawsze dwakroć traci.

Piękność wasza jak kwiatek, lecz prędko przekwita
Godna politowania jest taka kobiéta,
Która jak paw' ogonem, — pięknością się puszy,
Piękność bowiem bez cnoty to ciało bez duszy.

Rzetelność, ta odwieczna ojców naszych cnota,
Niech będzie twym udziałem — istna to marnota,
Kto szacherką, matactwem, chce dopomodz sobie
Taki można powiedzieć żywcem leży w grobie.

Szacunek przynależny w miarę zasług wieku,
Jak dług oddaj każdemu uczciwemu człeku;
Nie patrz czy go atłas czy płócienko kryje,
Często pod zgrzebną szatą złote serce bije.

Tarczą twoją niech będzie skromność i niewinność,
Postępuj prostą drogą, czyń swoję powinność,
Tarcza ta Archanioła, z któréj grom uderza,
Jeźli szatan złowrogi zgubić cię zamierza.

Umiarkowanie w mowie, w każdym ruchu, w czynie —
Wdzięk, godność osobistą nadają dziewczynie,
Bo gdy tylko kobieta w czemkolwiek przesadza
Że nie ma w duszy prawdy, sama się tem zdradza.

Wspaniałość, szlachetność wielkie to przymioty,
Obie one praojców naszych dawne cnoty,
Czyń zawsze dobrze nawet i dla wroga,
Tą drogą najłatwiéj zbliżysz się do Boga.

Zazdrość w serce kobiety, jeżeli się wkradnie,
Najzacniejsze uczucie wyziębi w niem snadnie,
Więc przed zdradném uczuciem chroń serce twe młode,
Bo zwiędniesz i zbyt wcześnie utracisz swobodę.

I źdźbła nawet fałszywości nie miéj w swojéj duszy
Bo fałszywość jest chwastem, który łatwo zgłuszy
Rodzinne Polek cnoty, przez matki wam dane,
By przez was, waszym wnukom były przekazane.

Życie ludzkie jest podróż, która szczęściem łudzi,
Lecz miły jest spoczynek, gdy podróż utrudzi,
A choć słońce przyświeca w twym życia poranku,
O spoczynku za grobem myślij bez ustanku.

Uwaga. Wiersz ten przesłał młody oficer w wojsku rosyjskiém Polak swéj siostrze. Nie wiemy czy sam ułożył, czy przepisał, ale ponieważ nie zdarzyło się nam go nigdzie czytać, a rady powyższe są istotnie piękne i zdrowe, przeto wydrukowaniem tego utworu sprawimy zapewne czytelniczkom przyjemność.

NAGRODA.

Powiastka

Eliszki Krasnohorskiéj.

(Ciąg dalszy).

Bożena wejrzała na nieznajomego wzrokiem, w którym się wyraził ból bardzo głęboki, pytając się niejako o przyszłość ojca. Ten zrozumiał zdaje się nieme zapytanie, gdyż przyłożył ucho do piersi starca, a po małéj chwili wyrzekł pewnym, niemiłosiernym głosem; „Wątpię czy tu jeszcze jest życie!“

Bożena spojrzała nań tak smutnie i boleśnie, że zamilkł w téj chwili i spojrzał, gdzie ręką wskazała, kładąc palec na ustach z prośbą, aby milczał. Zobaczył tam siedzącą w kątku Ludmiłkę, któréj czarne włosy, rozlewające się obfitemi pierścieniami, zakrywały twarz całą. Nieznajomy na widok dziewczęcia zbladł i otrząsnął się, jakby weń ugodziła błyskawica, za małą jednakże chwilę się opanował i znowu spoglądał dumnym, chłodnym wzrokiem. Wtem z piersi starca wydobyło się ciche westchnienie, starzec zaczął powoli oddychać, a wkrotce popadł w sen głęboki.

„Bożeno!“ odezwał się z kącika bojaźliwy głos Ludmiłki, „co się stało z dziadkiem?“

„Dziadek teraz śpi spokojnie“, odrzekła, „a więc i ty bądź spokojna. Nie bój się niczego, będzie on zdrów niedługo. Dziękuj Bogu, że go nam zachował od śmierci — ach! ojciec żyje!“ Przy tych słowach pojęła dopiero cały ogrom grżącego jéj nieszczęścia. Nieznajomy, nic nie poruszony temi wypadkami, zabierał się do wyjścia. Zabiegła mu drogę Bożena, mówiąc; „Nie odchódź odemnie, panie, od niewdzięcznéj.“

„Ani słowa o tem! Dziękuję za wdzięczność!“ odrzekł odchodząc, a czoło spochmurniało mu jeszcze więcéj i ironiczny uśmiech zaigrał mu na ustach.

Bożenę dotknęło to boleśnie, on jéj nie zrozumiał! „Wdzięczność?“ zawołała pełna rozżalenia, „tylko wdzięczność za tak wielkie dobrodziejstwo? Wdzięczność jest tylko słowem bez znaczenia, przemijającém uczuciem, a właśnie byłabym w najwyższym stopniu niewdzięczną, gdybym tylko wdzięczność ofiarowała. O, panie, nie gardźcie tém uczuciem, któreście we mnie wzniecili, które tylko czynami objawiać się może. Wiecie, coście dla mnie uczynili. Macie może, dobry panie, ojca lub matkę, albo może sami ojcem jesteście, a więc rozważcie, cobyście na mojém miejscu uczynili. O, panie, dozwól, abym całym żywotem mogła wam odsłużyć wasze dobrodziejstwo!“

Nieznajomy spojrzał po izdebce i rzekł: „Rad wam wierzę. Potrzebujecie czego, to mi mówcie, gdyż nie mam czasu.“

„Nie wychódźcie, dopóki nie wysłuchacie méj prożby.“ mówiła Bożena błagającym głosem, „uważałabym się za nieszczęśliwą, gdybym dla was nic nie mogła uczynić.“

„Dajcie pokój, wszak sama potrzebujesz pomocy, a bodaj komu, szczególnie mnie, nie możesz w niczem dopomódz.“

Odpowie dziewica: „Tak ubogiem, jak moje mieszkanie, nie jest moje serce. Jestem gotowa więcéj wam ofiarować, niż pyszny bogacz, gdyż chętnie służyć wam będę przez całe życie.“

„Nie potrzebuję waszéj służby i nie chcę przyjąć żadnéj nagrody z tak ubogiéj ręki, nie zatrzymujcie mnie dłużéj,“ po tych słowach ku drzwiom się zwrócił.

„A zatem od bogacza przyjęlibyście?“ wyrzekła Bożena, „jemu byłoby wolno za czyn szlachetny odpłacić szlachetną wdzięcznością. Biedna dziewczyna musi przyjąć piękne dobrodziejstwo jako pogardliwą jałmużnę.“

Nieznajomy zmierzył ją posępnym wzrokiem mówiąc: „A więc dobrze, jakąż mi dacie nagrodę?“

„Wysłuchacie mię zatem, panie!“ zawołała Bożena pełna radości. „Zachowaliście mi drogą osobę, chcę wam za to odsłużyć, czyniąc dobrze tym, których wy kochacie. Są pewne usługi, które może wykonać tylko ofiarna ręka i serce, pełne miłości i zaprzania siebie samego. Może macie swoich krewnych, którzy potrzebują łaskawéj, oględnéj opieki, a chętnie będę im służyła, starać się będę o ich dobro i nie cofnę się przed żadnem poświęceniem, spędzając z niemi serdecznie każdą minutę aż do zgonu.“

„Chcecie tedy z wdzięczności służyć mym krewnym?“ — mówił nieznajomy, na którego twarzy znać było walkę dumy z rozrzewnieniem; „chwilowo nie mogę spełnić waszego życzenia, sądzę atoli, że wkrótce wystaram się dla was o przyjemne i donośne zatrudnienie.“

„O, bądźcie miłosierni!“ prosiła z płaczem Bożena, „dlaczego nie chcecie mnie zrozumieć, dlaczego tak poniżacie najczystsze moje zamiary?“

„Wierzę w waszą chęć szczerą — czyś taka dumna, że moja życzliwość was razi. Ma kto z nas co przyjąć, to pewnie wam to przystoi, gdy nic dać nie możecie.“

„Przecież nie chcę wam ofiarować złota i srebra, których macie zapewne dosyć, lecz tylko moję serdeczną służbę, sercem i ręką —“

„Nie potrzebuję waszych usług, choć uznaję waszą wolę, która także ma swoję cenę.“ Przy tych słowach stał się znowu obojętnym, a położywszy prędko na stół sporą sakiewkę z pieniędzmi, szybko się oddalił.

Bożenie było, jakoby miała zginąć z hańby i bólu. Nie wiedząc co czyni, pochwyciła jego obie ręce i odezwała się przytłumionym głosem: „Nie gardźcie mojemi szczeremi chęciami, wszakżeż pragnę tak serdecznie poświęcić wam mój wszystek żywot i siły! Mówcie: może macie ojca, matkę, siostrę, żonę lub dziecię, którym czyniąc dobrze mogłabym odpłacić wasze dobrodziejstwo —?“

„Nie mam!“ krzyknął nieznajomy rozburzonym głosem, a twarz jego aż zsiniała, „nic dla mnie uczynić nie możecie, ani krew' serca waszego nie może mi nagrodzić jedynéj radości.“

Zaczem Bożena przyszła do siebie, już nieznajomego nie było. Nie wiedząc co czyni, otworzyła okno i spoglądała za nim tak długo, dopóki nie zniknął na rogu ulicy. Zdawało jéj się, że wróci wkrótce, aby wynagrodzić bolesną ranę, jaką zadał jéj biednemu sercu. Zapomniała biedna, że obok niéj spoczywa ojciec, potrzebujący pomocy. Ona wciąż myślała o nieznajomym, do którego przemawiała tak świętemi i prawdziwemi słowami, jakby do Boga samego, a on nią pogardzał. Byłaby tak długo dumała, gdyby jéj nie przebudził turkot doróżki z przybywającym lekarzem. Zamknąwszy okno, rzuciła się na kolana przed łożem ojca i załkała serdecznym płaczem. Czując w sercu pożerający płomień, rzekła sobie pełna grozy, że już na zawsze straciła spokojność.

Wszedł lekarz a przypatrzywszy się starcowi wyrzekł, że nie ma niebezpieczeństwa o życie. Widząc, że Ludmiłka płacze, łagodził ją, pieścił, a i Bożenę pocieszał tak uprzejmie i serdecznie, że uspokoił ją nieco. Pytał się potem kto był ten pan, co z niebezpieczeństwem własnego życia wyratował starca?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.